

- Autor: Piecuch Henryk
- Tytuł: Portret szpiega
- Wydawnictwo: MON
- Seria: Labirynt
- Rok wydania: 1984
- Nakład: 100000
- Recenzent: [Wiesław Kot](#)
- Recenzja: 115/2009



Buchalteria wywiadu

Oto wywiad-rzeka z Polakiem, agentem amerykańskiego wywiadu, sporządzona na zapotrzebowanie propagandy połowy lat 80. Autor dociera do osadzonego na Rakowieckiej szpiega o zastępczym nazwisku Zbigniew Walczak po zwierzenia z wrogiej działalności. Zaczyna od posępnego opisu kary – „przycisk, klamka, drzwi, przycisk, krata, klamka, drzwi...”: tak się wchodzi do celi, która stała się ostatnią przystanią szpiega. Jeszcze regulamin więziennego dnia, żeby nie było wątpliwości, że kto szpieguje kraj ojczysty, kończy na nużącej vegetacji. I efektowna scena aresztowania: „Siedział u siebie w MSZ w Warszawie, w naczelnikowskim fotelu, gdy zadzwonił telefon. Portier mówił z hallu, żeby zszedł na dół, bo przyszli jacyś goście. (...) – Jesteśmy oficerami Służby Bezpieczeństwa. Oto nasze legitymacje. Jest pan aresztowany od zarzutem szpiegostwa”.

I już płynie opowieść wsteczna – jak do tego doszło. Korzenie szpiegostwa tkwiły w bujnej warszawskiej młodości, kiedy to – jako student – przekonał się, że towarzystwo, zwłaszcza pięknych dziewcząt Ignie do tych, którzy mają szmal, zwłaszcza w kolorze zielonym. Nie przeszkadza mu to wstąpić do Związku Młodzieży Polskiej. Wie, że to tylko trampolina do dalszej kariery. Która szybko się zaczyna – wysyłają go na studia do Moskiewskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych – kuźni kadr dyplomatycznych Krajów Demokracji Ludowej. To też dla Walczaka kolejny etap. Kiedy więc w Wietnamie, gdzie pracuje jako tłumacz, dostaje propozycję współpracy od wysłannika CIA, nie zastanawia się długo. Nareszcie propozycja, która odmieni jego prozaiczne życie. Następuje szkolenie, a z Wietnamu Walczak wywozi kalki do sporządzania tajnopisów, fiolki z tabletkami do wywoływania pisma utajnionego oraz magnes do łączności kontenerowej. A przede wszystkim wywozi dreszczyk – nareszcie zaczyna być osobą, którą interesują się ważni ludzie, od której coś zależy. Pochłania lektury o CIA, czując się częścią tego wielkiego dzieła, które oplata cały świat. A kariera ciągle się do niego uśmiecha: wysyłają go na stypendium na amerykański uniwersytet. Tu jest okazja, żeby

obszernie gadać, o tym, co w Polsce, a nawet co u amerykańskich profesorów, bo i to jego mocodawców ciekawi. No i jest okazja, by pobierać za pokwitowaniem kolejne sumy, do których już przywykł. Dzięki nim czuje się prawie jak Amerykanin a nie jak chudy stypendysta. No, gdyby nie te szkolenia, byłoby całkiem znośnie. Nasz szpieg zeznaje obficie, jak go sprawdzano aparatem do wykrywania kłamstw, jak go szkolono w temacie łączności. I tu zyskujemy nieco wyglądających całkiem realistycznie danych o profesjonalizowaniu agenta zwerbowanego przez CIA. Takemu potrzeba odwagi i inteligencji, żeby nie dać się wytropić, ale przede wszystkim potrzebna mu systematyczność i wytrwałość w robocie. Szpiegowanie zaczyna przypominać zwykły urzędniczy mozół – z tym, że opłacany zgoła nie urzędniczą pensją. A o forszę Walczakowi szło. Nigdy nie rozważał takich pojęć jak patriotyzm, lojalność, zdrada. Liczył się tylko zarobek – do tego stopnia, że jego finansowa zachłanność raziła nawet amerykańskich mocodawców. W rozdziale „Judaszowym śladem” Walczak już szpieguje z Warszawy: w MSW oddelegowali go do obsługi zagranicznych delegacji, więc sporo wie o polskiej polityce zagranicznej. Fotografuje dokumenty metodą „na Klossa”, odsyła do centrali i zgarnia szmal. Teraz dzieli go z żoną, a niebawem z żoną i córeczką. Tu pada kilka deklaracji o miłości do nich obu, ale brzmi to całkiem nieszczerze. Liczył się przede wszystkim łatwy dochód i pilnowanie się, żeby nie wpaść. No i ta upajająca świadomość, że jest się potrzebnym samej CIA. A tymczasem kariera postępuje. Walczak jest znowu w USA, tym razem jako urzędnik ONZ. Nowe zeznania, nowe szkolenia, nowe pieniądze. Czuje się z każdym rokiem coraz pewniej – jeśli do tej pory go nie nakryli, to robota musi być rzeczywiście tak bezpieczna, jak go o tym zapewniają Amerykanie. I relacjonuje drobiazgowo: personel polskiego przedstawicielstwa ONZ, rodzaj maszyn do pisania, jakiego się używa, kto maszyny konserwuje i setki podobnych, pozornie drobnych detali. Zeznania zdają się nie mieć końca. Autor Piecuch opisuje je wnikliwie, co czytelnika może nużyć, ale ostatecznie czymś trzeba wypełnić trzysta stronik nawet jeśli to tylko tomik, który mieści się w tylnej kieszeni dżinsów. I tak nam lecą godziny przy lekturze, a szpiegowi lata. W Polsce tymczasem wielkie zmiany. Po Radomiu chwije się ekipa Gierka. Walczak ma informacje, wedle których z polską gospodarką jest o wiele gorzej niż podają najwięksi pesymiści. Ale obchodzi go to mało – tyle, ile za takie informacje skasuje dolarów. Podobnie w Sierpniu. Żadnych wyższych uczuć, żadnych porywów, mimo, że jest już w kraju. Tylko sygnał, że w wydrążonej gałęzi będzie spoczywał kolejny mikrofilm. I forsa za pokwitowaniem. Niebawem obrócona na mercedesa. I kiedy dobiegał do pięćdziesiątki wpadka i proces. W rezultacie 25 lat odsiadki, czyli praktycznie dożywocie, bo dla takich jak on władze niechętnie ogłaszają amnestię.

Wszystko to Henryk Piecuch relacjonuje szczegółowo, by nie być posądzonym, że całą historię zełgał. Ale pasji w tym mało. Trochę tak jakby rzecz całą sprawozdawał sumienny księgowy. A przedmiotem sprawozdania był obrót informacjami. Nawet pojawiające się sporadycznie „judaszowe” epitety nie zmieniają tonu relacji. Więc lektura dla cierpliwych i nieegzaltowanych. Niezastąpiony przyjaciel w autobusie czy metrze. No i zasypia się przy tej książeczce gładko. Mało?